

The Border Breaking Bunch

(fragment powieści)

Maja Magdalena Świdorska

Nie kierując się w konkretne miejsce,
łatwo pozostać na miejscu.
Nie pochodząc z konkretnego miejsca,
a jednak odwracając głowę,
by spojrzeć w tył,
widzi się biel.

Co człowiek(a) tworzy?

Jedynym sposobem na zbliżenie się do wiedzy o rodzinnej historii był kontakt ze starą ciotką w Warszawie. Jednak ten plan nigdy się M. nie powiódł. Nie szczęście chciało, że pewnego popołudnia, gdy ciotka, przygotowując obiad, smażyła wątróbki, jeden naprężony wodą kawałek mięsa eksplodował z taką siłą, że wystrzelił w górę i trafił ciotkę w sam środek czoła. Ciotka zmarła na miejscu (czy to faktycznie była wina wątróbki, czy może kombinacji podwyższonego ciśnienia, wrodzonej wady serca i nagłego przerażenia strzałem z patelni, nie ma większego znaczenia dla tej opowieści).

By opisać to, co między niebem a ziemią, oraz wszystko inne, co w rzeczywistości istnieje, należy zastosować trik, którego wszyscy używamy (szepcze M. i kontynuuje: By nauczyć się żyć życiem!). Wymaga paru ćwiczeń ta trójstopniowa rakietka. Czy ogień już płonie?

- 1: Stoję obiema nogami na ziemi, z głową nad wodą i z nosem w chmurach.
- 2: Mam ziemię w głowie, wodę w nosie i kopię chmury nogami.
- 3: Wtykam nos w ziemię, stąпам po wodzie i zakładam chmurę na głowę.

Gotowa, do startu, allez allez. Bieganina w kółko i zaganianie. Jedno słowo tu, inne tam. Kolejne słowo protestuje i biegnie w swoją stronę, wirując i chybotliwie się unosząc. Jest całkowicie samodzielne i nie chce się przyłączyć. To ważne, krzyczy za nim M., ale jest za późno. Czasami po prostu trzeba zaakceptować braki.

Paczka czekała w urzędzie pocztowym na Frederiksbergu. Na paczce napisano tylko: nazwisko M., Kopenhaga, Dania. W paczce znajdowała się stara biała lampa z porcelany. Tak zaczęła się jedna z jej historii.

Właściwie M. po pięciu latach przyzwyczała się do nagiej żarówki, jedyne źródła światła w swoim minimalistycznym przedpokoju, ale zdecydowała, że lampę zawiesi. Gdy rozmontowywała lampę, by ją oczyścić, ze środka wypadł szary, pożółkły zeszyt, a z niego list od starej ciotki. M. odwiedzała ją za każdym razem, gdy była w mieście, ale nigdy nie zwróciła uwagi na lampę. W liście ciotka pisała, że chce, aby M. odziedziczyła tę lampę, która rzucała światło na dwudziestowieczną historię Polski (zupełnie dosłownie, jak pisała). Gospościa ciotki, wynikało z listu, dostała polecenie wysłania lampy. Była to wieloletnia gospościa, która zaczęła pracować u ciotki M. jeszcze w czasach, gdy ta mieszkała pod osławionym adresem: Aleja Przyjaciół.

Gdy ciotka postarzała, przeprowadziła się do mniejszego mieszkania, wraz z gospośią i lampą.

M. przestała się zmagać z czyszczeniem lampy i zamiast tego zabrała się do czytania zeszytu. Wypełniony był starannym i lekko chwiejnym pismem, na podstawie czego stwierdziła, że prawdopodobnie pisała go kobieta. Przy bliższym oglądzie odkryła, że notowały w nim trzy osoby.

Na pierwszej stronie w prawym rogu widniała data: Wrzesień 1932. Wklejono tam kartkę z napisem: Wszystkiego najlepszego, Lea. Abyście z Abramem żyli szczęśliwie. Znaleźliśmy tę lampę i mamy nadzieję, że pasuje do waszego nowego mieszkania. Moc serdeczności od nas wszystkich.

M. zaczęła kartkować zeszyt i znalazła złożoną, wydartą z gazety stronę. Rozłożyła ją. Na środku widniało duże zdjęcie Alei Przyjaciół. Dziennikarz przeprowadził wywiady z obecnymi i dawnymi mieszkańcami i skleił portret ulicy, zatytułowany: Aleja Władzy.

W centrum Warszawy leży ulica, która od zawsze przyciągała rządzące elity. Jednak nie wygląda ona zbyt efektownie, jest dość anonimowa. Nie znając jej niezwykłej historii, rzadko kto zatrzyma się, by rzucić na nią okiem. To niewielka, ślepa uliczka z wysokimi, jasnymi, piętrowymi budynkami po obu stronach, małymi ogródkami przed domami i dużymi, dziko rosnącymi drzewami, które wiosną pięknie kwitną na różowo. Między latarniami na mocno dziurawym chodniku stoją ciasno zaparkowane samochody. Jedyne, co czyni tę ulicę wyjątkową, to mały pałac na jej końcu. Tu rezydował szlachecki ród Sobańskich. Pałacyk stoi frontem do Traktu Królewskiego, ciągu ulic biegnących przez miasto od pałacu letniego w Wilanowie do zamku w mieście. I tu właśnie, na tyłach traktu, leży ta niewielka, +

zakrzywiona ulica. W sercu tak zwanego złotego trójkąta Warszawy. Dziś należy do najdroższych części miasta. Tu właśnie znajduje się Aleja Przyjaciół.

Artykuł opowiadał o pokoleniach przyjaciół, którzy przy niej zamieszkiwali.

Istnieje wiele historii o pochodzeniu nazwy ulicy. Jedna z nich mówi, że przyjaciele rodu Sobańskich wspólnie zasadzili przy drodze drzewo. Według innej, architektom, po wielu kłopotach, zmaganiach i nieporozumieniach związanych z trudnościami w dopasowaniu budynków do zakrzywionej alei, w końcu udało się zgodnie ukończyć projekt. Budynki, wzniesione w latach trzydziestych, są cenne, gdyż niewiele zachowało się sprzed wojny.

Aleja Przyjaciół najbardziej słynie jednak z tego, że przez lata mieszkały na niej całe pokolenia rządzących elit – lub przyjaciół. W latach trzydziestych aż do drugiej wojny światowej bogate warszawskie mieszczaństwo wprowadzało się do wielkich luksusowych mieszkań, gdzie były windy, balkony i pokoje dla służby. W czasie wojny wyrzucono ich i ulicę zajęli Niemcy. Wprowadziła się nowa grupa rządzących. W wygodnej odległości od warszawskiego getta, które leżało parę kilometrów na północ, i tylko parę ulic od głównej siedziby Gestapo. Niemcy przejęli zatem mieszkania od elit polskiego mieszczaństwa, a po wojnie zajęła je kolejna grupa rządzących, następna generacja przyjaciół, towarzyszy: służba bezpieczeństwa, ministrowie partii komunistycznej, funkcjonariusze i ich rodziny. Lecz mimo komunistycznego ideału społeczeństwa bezklasowego ulica stała się w najwyższym stopniu jego przeciwieństwem. Tu mieszkał rząd. Mieszkańcy posiadali samochody z własnymi szoferami, gosposie i nianie. W tych czasach ulica była zamknięta i strzeżona, a niemal każdego wejścia pilnował wartownik. Powszechnie też wiadano, że na poddaszu urządzono pomieszczenie do pracy, gdzie towarzysze partyjni mogli obserwować i podsłuchiwać mieszkańców. Mieszkania wyposażono w pluskwy, umieszczone w telefonach i ścianach, co powodowało, że domy pełne były przemilczeń i tajemnic. By się podzielić informacjami, wychodzono na pozornie niewinny spacer. Na ulicy mieściło się poza tym więzienie, a także lokale do przesłuchań, połączone podziemnym korytarzem. Tutaj antykomuniści byli przesłuchiwani, poddawani torturom i trzymani w areszcie – czasami przez niektórych z mieszkańców ulicy.

Dalsza część artykułu opowiadała o latach 70. i 80., gdy na ulicę wprowadzali się przede wszystkim artyści i członkowie polskiej inteligencji. Oni również nadawali ton w swoich czasach.

Dziś okolica przeistoczyła się w twierdzę kapitalizmu. Oddziały licznych zagranicznych firm mają w mieszkaniach swoje biura albo kwateryją tam pracowników. To dzisiejsza klasa rządzących: kapitaliści, międzynarodowe firmy, nowobogacy.

Autor artykułu rozmawiał zarówno z wcześniejszymi, jak i obecnymi mieszkańcami ulicy o ich relacji do miejsca. Jednak większość wypowiedzi nie była, szczerze mówiąc, ani trochę interesująca. Mówiąc szczerze, żadna wypowiedź nie była interesująca. Żadnych zabawnych anegdot, żadnych opowieści ciekawych z historycznego punktu widzenia, żadnych plotek ani ujawnionych sekretów – najczęściej tylko przecukrzona historie o przyjemnej dzielnicy z najlepszym rzeźnikiem w mieście. Dokładnie tak, jak zawsze. Z rzeczywistością na dystans. Tak właśnie. To było sedno Alei Przyjaciół. M. zauważyła w wypowiedziach jedyną zbieżność. Jedyną niezauważoną i nieskomentowaną zbieżność.

Osobliwe, że w opinii licznych mieszkańców ulicy, bardzo strzegą oni swoich adresów. Tylko niewielu prosi taksówkarzy o skręcenie w Aleję, by wysiąść pod drzwiami.

M. zadumała się przez chwilę nad tym podobieństwem doświadczeń, łączącym mieszkańców ulicy. Bo ona także zawsze wysiadała na rogu. Nawet z wielkimi bagażami, które musiała potem taszczyć. Istniała jakaś granica, której nie można lub nie powinno się przekraczać, granica mentalna. Wtedy nikt nigdy o tym nie rozmawiał. Wtedy często wysiadało się na rogu. Nikt nie mówił więcej niż: Na rogu wystarczy, dziękuję. Płaciło się taksówkarzowi, wysiadało, oczekiwało chwilę, rzut oka w lewo, rzut w prawo – i w Koszykową, a później w Aleję Przyjaciół.

♦♦♦

M. przeczytała cały zeszyt. Pełen był dobrych rad, listów i innych pamiątek, a także uwag pisanych w formie dziennika. Zaskakująco podobnych do siebie. Ktoś miał przepis na maseczkę przeciwzmarszczkową dla suchej skóry: starte 2 marchewki wymieszać z 1 żółtkiem i 1 łyżeczką płatków owsianych. Nałożyć mieszankę na twarz i szyję. Zostawić na 10 minut, potem zmyć letnią wodą.

Były w nim liczne przepisy kulinarne i rady pani domu: Stęchliznę z tkanin usunąć wcierając sok z cebuli. Potem natychmiast wygotować.

Lea była pierwszą właścicielką zeszytu. Ostatnia rzecz, jaką wkleiła, to list pożegnalny od krewnych. Warszawa, maj 1940. Piszą, że muszą udać się na wschód. Że wyjadą z miasta pociągiem następnego dnia, a dokąd dojadą, nie wiadomo. Cieszą się, że kiedyś będą mogli się spotkać – po tym wszystkim.

Następną osobą, która używała zeszytu, była niemiecka kobieta. Ona jako jedyna prowadziła dziennik. Większość wpisów jest tak wyblakła, że trudno się doczytać, ale niektóre się da:

+

Warszawa, sierpień 1944. Duszę się w tym mieście. Nie mam czym się zająć. Mąż jest na zebraniach przez większą część czasu. Partia mówi, że najlepiej, jeśli będę niewidoczna. Nie wolno mi zostawiać żadnych śladów, a moje imię i nazwisko zmieniono na F.F. Jedyne, co sprawia mi radość, to robienie zdjęć starym aparatem, który znalazłam w jednej z szaf. A ponieważ za bardzo nie wolno mi wychodzić, więc głównie fotografuję motywy z mieszkania.

W zeszytcie zostało trochę pustych kartek. Na jednej z ostatnich był nekrolog. Wycięto go z gazety i wklejono do zeszytu – nekrolog Stalina. 5.3.1953. Na tej samej stronie znajdowały się wyrwane kawałki papieru i serwetki. Tanie serwetki, jakie M. znała z Warszawy. Przypominały bibułkę. Dobre do pisania, ale zupełnie pozbawione właściwości chłonących. Na każdej z nich napisano krótki tekst. M. przeczytała je wszystkie. Uderzyło ją ich tematyczne podobieństwo: językowość języka, a może raczej ajęzykowość języka, albo niejęzykowość może.

Podrygują nerwowo, latają, chyboczą, trzepoczą, w kółko furkoczą.
Wokół moich uszu.
& do środka & na zewnątrz.
Jak pijane muchy w zderzeniach czół.
Spadają i krążą roztrzęsione wokół.
&hola&hop.
Pędzą między nogami.
Skaczą przez płotki, przez palce u stóp, rysują lakier.

♦♦♦

Jedno ze słów przyssało się do mojego języka i większość przedpołudnia próbowałam je wyskrobać. Nic z tego. Siedziało. Siedziało jak wżerająca się pijawka. Ruszyłam na ulicę w nadziei, że jeśli parę razy przejdę się w tę i z powrotem z otwartą gębą, to może słowo poczuje się nieswojo i się skurczy. W ten sposób będzie je łatwiej przełknąć.

Ostrożnie je podważam. Ucho. Pilniczkiem do paznokci – spiczasto zakończonym. Dobrym, by wyskrobać resztki. A potem dziurę się wyrówna,

jestem niechętna, ale zagrożona. I usłuchana

jak nadmuchany balon. Napięty do granic. Wypełniany coraz bardziej i bardziej,

odrąbuję nerwy. I odrzucam ucho od siebie. Jak frisbee. Eksploduję, a ty mnie chwycisz. Z oka zdrapując zielony plastik.

♦♦♦

Zbłądziłam w języku, kiedyś. Klaustrofobicznie uwięziona, jak w środku labiryntu. Próbowałam się wyrwać. Wystrzelić. Oniemiała, nie wiedziałam, w którą stronę iść. Dlatego zwymiotowałam. Go. Nieartykułowanie. Daleko, daleko.

♦♦♦

Wyprzedziłam siebie. Po prostu przebiegłam obok. Po omacku posuwałam się w przód. Z uczuciem opuszczenia,

dopóki nagle
nie ruszyłam sprintem,
jakby chodziło o
ułamek tej chwili

Może należałoby przewiązać się czerwoną liną. Wtedy jest co poplątać. W lustrze wygląda to ładnie i łatwo. Próbuję, robię szybkie zdjęcie. I galopuję z miejsca. Na kolejnym koniku, morskim.

♦♦♦

M. przyłapała się na ciągłym siedzeniu na podłodze z zeszytem w ręku, podczas gdy oslepiały ją buty ze srebrnymi cekinami. Padały na nie promienie słońca, powodując lekko kłujący ból w oku. Czy to warto pamiętać?

Lista do zapamiętania:

Boję się karaluchów: W ubiegłym roku podniosłam jakiegoś, biorąc go między palec i kciuk. Gdy zadrgał i zrobił hop i wysoki skok, był to szok.

Boję się jajek: rozbitych, surowych jajek. Z plamkami i błoną, i kleistą masą. Mówię: ratuj jajko. Rzucam koło ratunkowe.

Boję się mas: jakichkolwiek mas. Dużych i małych, nawet najmniejszych.

Boję się ciszy: ale tylko ciszy obcego.

Czy to prawda? Czy to warto pamiętać?

Tłumaczenie z języka duńskiego: Anna Estera Mrozewicz
Tłumaczenie sfinansowała Duńska Państwowa Fundacja Sztuki (Statens Kunstfond).

The Border Breaking Bunch, Borgen, Kopenhaga 2008